

# Brat z bratem

Janusz Kondratiuk nie pozostawia cienia wątpliwości, że bohaterami tej opowieści są: on sam, jego starszy brat Andrzej oraz ich małżonki Beata Madalińska i Iga Cembrzyńska. Reżyser postanowił przenieść na ekran wydarzenia, które rozegrały się w jego życiu od momentu, kiedy Andrzej doznał drugiego udaru. Janusz postanowił zaopiekować się sparaliżowanym bratem w swoim domu na wsi. Treścią filmu są szorstkie relacje braci oraz trudy codziennego zajmowania się chorym. I nie tylko imiona postaci są „prawdziwe” czy wplecione w tok narracji fragmenty autentycznych filmów obu reżyserów albo występów żony aktorki – wszystkie wydarzenia i dialogi zostały odtworzone jeden do jednego, a większość zdjęć zrealizowano w domu Janusza Kondratiuka. Trudno o większą dosłowność z jednej strony, a z drugiej – jest to przecież interpretacja rzeczywistości, obraz widziany z perspektywy jednego uczestnika wydarzeń. Jego ocena przedstawionych wydarzeń dotyczy realnych osób, ich intymność – czasem drastyczna – staje się publicznym widowiskiem, nawet jeśli zgodzimy się, że także dziełem sztuki. Tak o swoich motywacjach Andrzej Kondratiuk opowiadał podczas spotkania z publicznością w Muzeum Kinematografii:

- To, co mi się przytrafiło, przytrafia się wszystkim. Dlatego postanowiłem podzielić się z widzami moją przygodą. To nie jest film o śmierci, ani o umieraniu, ale o życiu. Kiedyś był obyczaj związany z odchodzeniem bliskich. Otoczeni rodziną wypowiadali jeszcze jakieś mądre myśli, żegnali się. Dziś panuje strach przed śmiercią i – oby nas to nie spotkało, ale statystycznie jest coś na rzeczy – można umierać na korytarzu szpitalnym twarzą do ściany. Moim bratem opiekowała się przede wszystkim moja żona Beata i jej syn Mateusz. Ja byłem tylko sprawcą tego wszystkiego. Unikałbym takich słów jak bohaterstwo. Zrobiłem to nie z miłości, ale z poczucia obowiązku, że tak powinno być – do końca trzeba się opiekować bliskimi.

Reżyser zarzeka się, że wszystko, o czym opowiada w filmie, jest prawdą, ale ostatecznie to on skonstruował obraz, dokonał wyboru sytuacji i rozpiął kwestie. Konsekwencją takiego podejścia jest nałożenie się na ekranową rzeczywistość autentycznej historii rodziny i wzajemnych relacji między Kondratiukami. Podczas II wojny światowej matka, ojciec i Andrzej wywiezieni zostali przez Rosjan z Pińska do Kazachstanu, gdzie w 1943 roku urodził się Janusz. Po wojnie chłopcy dorastali na łódzkim Julianowie, ale siedem lat różnicy wieku spowodowało, że nigdy nie byli ze sobą blisko, przy czym, zdaniem Janusza, mama Krystyna (założycielka Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi) faworyzowała Andrzeja. Również dorosłe zawodowe życie młodszego z braci toczyło się w cieniu „zdolniejszego, wybitniejszego” Kondratiuka. – Nawet moje „Dziewczyny do wzięcia” Internet przypisuje Andrzejowi – żali się Janusz.

Kluczową decyzją w myśleniu o filmie była obsada. – Szukałem kogoś, kto fizycznie przypomina mnie i mojego brata, ale chciałem, żeby to była uniwersalna historia. To się wydarzyło w mojej rodzinie, ale chciałem, żeby dotarło do ludzi, nabrało ogólnego znaczenia. Poszedłem w końcu na kompromis. Chodziło mi o to, żeby różnicować braci: jeden jest piękny i zdolny, a drugi taki sobie szaraczek. Nie było łatwo znaleźć odtwórcę roli Andrzeja. Po czterdziestce ludzie zaczynają płacić twarzą za całe swoje życie. Aktorzy, którzy prowadzą figlarny, powierzchowny tryb życia, dostają właśnie takie buzie. Ich oczy są skierowane tylko na siebie albo głupie, albo martwe, albo zalane tłuszczem. To eliminowało kolejnych kandydatów, bo tak się złożyło, że mój brat miał bardzo wyraziste oczy, wpatrywał się w rozmówcę i prowokował go, bo nie znosił bla, bla, bla, chciał, żeby rozmowa była głęboka. Wreszcie trafiłem na Ola Łukaszewicza, który ma takie oczy. Zapłacił za życie piękną twarzą, ponieważ jest uroczym, fantastycznym człowiekiem. Robert Więckiewicz uroczy nie jest, bo to ostry gość z ADHD i świetny aktor z dużym instynktem. Bardzo mi pomógł, bo wiedział, że jego postać jest taka, że pani Aleksandra Konieczna grająca Igę i Olo Łukaszewicz na

ekranie go wykończą (w roli żony Janusza wystąpiła Bożena Stachura). Łatwiej jest grać szaleńca albo alkoholicką czy kobietę przetrąconą przez życie niż szaraczka.

W filmie „Jak pies z kotem” mamy retrospektywne ujęcia z dzieciństwa w Kazachstanie, mamy współczesne sugestie, że związki między braćmi były dosyć luźne, ale te wyczuwalne pretensje do Andrzeja, a może po prostu do życia, pozostają dalszym tłem dla rozgrywających się wydarzeń. Mimo wszystko widzimy bliskość, która odradza się w trudnych chwilach, widzimy szacunek i oddanie. Ale relacje nadal pozostają trudne, bo Andrzej nie chce się poddać rehabilitacji, a dodatkową konsekwencją udaru są wizje, majaki, bredzenie.

- Mój brat nie zdawał sobie sprawy, że powstaje scenariusz o tej naszej sytuacji (współautorem jest Dominik W. Rettinger). Po udarze przebywał w jakichś światach równoległych częściej niż w rzeczywistości. Na początku strasznie się denerwowałem i jak głupi belfer chciałem go wyprowadzić z mniemania, że na przykład właśnie niedźwiedź przyszedł. To się nigdy nie udaje. Jeśli ktoś bredzi, trzeba wejść w te jego brednie, nie poprawiać, solidaryzować się z nim. Wtedy dochodzi się do porozumienia i jest bardzo fajnie razem.

Na szczęście tę konwencję paradokumentalną Janusz Kondratiuk przełamuje dystansem, poczuciem humoru, mieszając łyż i śmiech. Wprowadza nieco groteski, w realistyczny sposób łącząc sceny z wizji Andrzeja - np. wizytę niedźwiedzia - z rzeczywistością. Z drugiej strony w wielu miejscach pojawia się oddech, a narracja staje się bardziej poetycka - spojrzenie w niebo na słońce przebijające się przez liście wysokich drzew. Natura i jej zmiany związane z przemijaniem to również istotny motyw filmu. Widzowie dostrzegli w tym jednocześnie odwołanie do „Czterech pór roku” Andrzeja Kondratiuka.

- Kiedy nasz ojciec był umierający, chcieliśmy mu urządzić koniec życia wśród drzew. Był leśnikiem z dziada pradziada i najlepiej się czuł wśród natury. Pomagałem bratu zbudować domek, te wszystkie dekoracje, ale nie chciałem z tego robić filmu. On to zrobił i podpisał. Można powiedzieć, że mój film to jest takie przewrotne nawiązanie, przewrotny los. Ale to nawiązanie nie było moim celem. To nie było pożegnanie - jeszcze się zobaczymy, jeszcze się nagadamy.

Podczas oglądania „Jak pies z kotem” rodzi się myśl, że oto reżyser Janusz Kondratiuk ma ostatnie słowo w swojej rodzinno-artystycznej epopei, przedstawił sprawy tak, jak on je widzi i nikt go nie skonstruje, nikt mu nie zagrozi, jego jest sprawiedliwość. Dochodzi jednak do przewartościowania. Skupiona na sobie, ubezwłasnowolniona nie tylko przez siostrę, ale także przez alkohol Iga jakoś się ogarnia (dzięki pomocy Janusza) i jest w stanie dać emocjonalne wsparcie Andrzejowi. Rodzina Kondratiuków się jednoczy. Intencje reżysera w moim - widza - mniemaniu się oczyszczają. I w finale ta historia rzeczywiście nabiera cech uniwersalnej opowieści o tym, co w życiu ważne.

- Był taki plan na początku, żeby Iga Cembrzyńska zagrała siebie i Iga też bardzo chciała. Zorientowaliśmy się jednak, że jest za wcześnie. Tak bardzo przeżywała każde zdanie na próbie, że kończyło się to łzami, a ja chciałem robić film o życiu, a nie o śmierci. Każde wypowiedane przez nią zdanie miało w podtekście śmierć. Bardzo byli związani ze sobą taką hassliebe, miłością-nienawiścią i zupełnie nie potrzebowali reszty świata. Iga nie wyszła jeszcze ze wstrząsu związanego ze śmiercią Andrzeja. Poza tym, gdyby zagrała, ktoś mógłby o mnie powiedzieć, że jestem sępem, padlinożercą, że wykorzystuję Ige i stawiam ją w niezręcznej sytuacji. Ona w końcu też zrozumiała, że nie może tego zagrać, ale pomagała pani Koniecznej.

Paradoksalnie Janusz Kondratiuk, próbując przez całe życie wyjść z cienia brata, w swoim ostatnim filmie korzystał z typu wrażliwości i estetyki charakterystycznej dla twórczości Andrzeja (m.in. „Gwiazdny pył”, „Cztery pory roku”, „Mleczna droga”, „Wrzecziono czasu”).

- Musiałem pokazać świat jego oczyma. A on był szalenie wyczulony na naturę - ważne było, jak świeci słońce, jak się układają cienie na ścianie, żeby filmowane drzewo nie było jakimś drzewem, ale drzewem zobaczonym przez niego. Wydaje mi się, że to należało do prawdy postaci. Dlatego to robiłem. Podejrzewam, że on tam z góry patrzy i trochę się tego boję.

**Bogdan Sobieszek**